

Zapalniczka

Oparłszy brodę o wierzch dłoni, przyglądałam się zielonemu kubkowi, w którym świeżo wlane mleko traciło swoją naturalną, nieskalaną barwę, mieszając się z kawą. To oczywiście Donna przykazała mi pić kawę, zwłaszcza w poranki tak mgliste jak ten, kiedy zaciera się granica między niebem a ulicą, a drzewa zlewają się z budynkami i latarniami, tworząc jedną, pozbawioną wyrazu masę. Zawsze szczyciłam się własną nieugiętą siłą woli, jednak z jakiegoś powodu nie mogłam przełknąć ziemistego napoju. Zmuszona byłam więc rozcieńczać go kolosalnymi ilościami cukru i mleka, których, jak podejrzewałam, było wtedy w moim kubku więcej nawet, niż samej kawy. Gdyby Donna ujrzała mnie w tamtym momencie, bez wątpienia uniosłaby co najmniej jeden z kącików tych jej kobiecych ust i w uśmiechu pokazała proste, wspomagane niegdyś aparatem ortodontycznym zęby, pozwalając jakimś pozornie kąśliwym, lecz szczerze serdecznym słowem, prześlizgiwać się przez nie. Robiła tak już niezliczoną ilość razy, tak wielką, że z czasem nauczyłam się rozróżniać, kiedy zmuszała ją do tego wrodzona grzeczność, którą obdarzała niemal każdego, a kiedy własne poczucie humoru, przez niektórych uznawane za nieprzystające.

Odetchnęłam, po czym ponownie pozwoliłam zimnemu, zatrutemu dymem powietrzu wypełnić moje płuca. Ikar nigdy tak naprawdę nie umarł. Jego duch, zabłąkany w głębokich wodach znalazł drogę ucieczki. Nie miałam pojęcia, czy unióś się wraz z bryzą, czy może pochwycił jeden z psotnych promieni słońca, tańczących z morzem. Jednak to, że w jakiś sposób powrócił do świata ludzi nie ulegało wątpliwości. Kiedy wybitni architekci i inżynierowie głowili się nad nowymi projektami, on zaglądał im przez ramię, nachylał się do ucha i podszeptował "Do słońca...". Choć daleko mi do inżyniera, wpatrując się w obraz miasta przede mną, na którym budynki na moich oczach ścigały się ze sobą, obierając za cel dzienną gwiazdę, wydawało mi się, że i ja go słyszę. Spiczaste budowle zaczęły wbijać się w moje oczy niczym szpilki i obniżyłam wzrok. Pod balkonikiem, bo ze względu na jego komiczny rozmiar nie dane było mu nosić miana balkonu, rozciągała się ulica. Jedną z tych ruchliwych, terytorium rozeźlonych taksówkarzy, którzy, niezdolni dosięgnąć twarzy kierowcy samochodu przed nimi, bezsilnie zwiłali dłonie w pięści i uderzali nimi w niczem nie winne klaksony. Kiedy matka po raz pierwszy stanęła w progu mego mieszkania, zgorszona zatkała uszy rękoma, jakby hałas sprawiał jej fizyczny ból. Były czasy, gdy i mi przeszkadzała nieustanna, burzliwa symfonia ulicy, jednak im grubsza warstwa kurzu pokrywała stolik do kawy usytuowany w salonie, który jeszcze niedawno zwykłam dumnie opatrzyć przymiotnikiem "nowy", tym głębiej utwierdzałam się w przekonaniu, że przy braku wyboru, do wszystkiego da się przyzwyczaić.

Nieprzerwany hałas zbliznił się więc w moich uszach. Trwałoby to jednak znacznie dłużej, gdyby nie granicząca z ulicą zielona bariera, oddzielająca mnie od przytłaczających wieżowców w oddali. Okrągłe bryły drzew parku łagodziły geometryczną miastową rzeczywistość. Sufit liści obejmujący cały teren od góry sprawiał, że nie mogłam dojrzeć serca parku z góry, wpatrywałam się więc jedynie w jego obrzeża, na ludzi wchodzących i wychodzących z pomiędzy drzew. Miejsce cieszyło się dość dużą popularnością. Czasami zapamiętywałam przechodniów. Kiedy zanurzali się w zielonej otchłani, siedziałam na balkoniku wystarczająco długo, by zaobserwować również ich ucieczkę z niej. Niezauważona obejmowałam ich wzrokiem, łaknąc każdego szczegółu i próbując doszukać się w nich jakiś zmian, które mogła spowodować wizyta w parku. Zazwyczaj znajdowałam je. A przynajmniej wmawiałam sobie, że je znajduję, wyolbrzymiając bagatele takie jak ułożenie szalika na ramionach, czy zwrócenie daszka czapki. W ten sposób upewniałam się, że zmiana jest zjawiskiem naturalnym, jak park i że nawet tak krótka wizyta w nim może ją wywołać, niezależnie od tego, kim jest odwiedzający.

Poczucie winy spłynęło po moim karku, gdy uświadomiłam sobie, że myślami zupełnie porzuciłam stojący przede mną kubek. Para wciąż jeszcze malowała się nad nim, wiążąc supły i kokardki z zimowego powietrza. W poszukiwaniu uszka naczynia, opuszkami palców rozeznałam jego powierzchnię, pozwalając ognikom ciepła łaskotać moją dłoń. Napój, który już po chwili znajdował się w moich ustach, wciąż był gorzki. Skrzywiłam się z niesmakiem. Mięśnie mojej twarzy rozluźniły się dopiero po chwili, gdy zmusiłam się do przełknięcia, a ciepło powędrowało w dół mojej szyi, przez klatkę piersiową. Po chwili zrozumiałam, że ciepło, które poczułam nie było spowodowane jedynie parującym napojem, lecz także inną, ogrzewającą rzeczą. Obecnością.

Uniosłam wzrok znad kubka, doskonale wiedząc, kogo miałam zaraz ujrzeć. Nie pomyliłam się. Flemont ostatnio coraz częściej zjawiał się, zazwyczaj właśnie w takich przezroczystych chwilach, gdy świat zdawał się wysysać ze mnie wszystkie kolory i pochłaniać, mianując mnie bezbarwnym obserwatorem. Chyba przychodził właśnie po to, by przywrócić mi barwy, gdyż sam był ich pełen. Podczas tych wizyt zwykł zadawać mi jakieś niegrzecznie osobiste pytania, kierując moje myśli ku sobie, albo nie odzywać się wcale, co przynosiło podobny skutek. Tego dnia jednak wyraźnie w nastroju do rozmów.

Nasze spojrzenia się spotkały. Nie mogłam widzieć jego ust, gdyż schowane były za bliźniaczym mojemu kubkiem. Jego oczy jednak zdawały się uśmiechać ciepło spod szkieł

okularów, porządnie osadzonych na nosie. Zastanowiłam się, czy kubek wyjął z mojej szafki kuchennej, czy też przyniósł go ze sobą.

- Parszywa pogoda.- Odezwał się, stawiając naczynie na stole. Na podkładce. Cóż za elegancja.

Wzruszyłam ramionami. - Ja tam taką lubię.

Uśmiechnął się szerzej, tak, że małe dołeczki pojawiły się na jego twarzy. - Jasne, że lubisz.

Po tych słowach zapadła cisza, z której ucieszyłabym się, gdyby nie wzrok, który nieustannie wbijał we mnie, sprawiając, że czułam się jak jakiś wyjątkowo beznadziejny klaun, wypchnięty na scenę, ku widowni, która jego zagubienie uważała za coś niesamowicie zabawnego.

- Kawa?

Pokręcił przecząco głową. - Herbata.

Uniosłam lekko brodę, zaglądając do jego kubka. Nie kłamał. Fakt, on nigdy nie kłamał.

- Telefon dzwonił. - Poinformował mnie, opierając lewą dłoń o blat stołu. Dwoma palcami zaczął wystukiwać na nim jakiś nieznany mi rytm.

- Oh. - wydukałam, spuszczać spojrzenie.

- Słyszałaś?- zapytał, chociaż obydwoje znaliśmy odpowiedź.

- Może.

- Może. - powtórzył i pokręcił głową. Wyraz ciepła pozostał na jego twarzy. Nie byłam z resztą pewna, czy kiedykolwiek widziałam jak ją opuścił. Ale zniknęła jego początkowa żartobliwość, zastąpiona pewnego rodzaju powagą i zmartwieniem, rysującym się prostą zmarszczką między jego brwiami. - Powinnaś oddzwonić.

- To mogła być jakaś reklama, wiesz. Niekoniecznie....- przerwałam, uświadamiając sobie, że nie oszukam ani jego, ani siebie samej. Przełknęłam ostatni łyk kawy, po czym wstałam od stołu i, ociągając się, przez drzwi balkonowe weszłam do środka, czując wzrok Flemonta podążający za mną, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Staromodny, czerwony telefon stał na kredensie, wepchnięty między do połowy puste butelki i wazę zajmowaną przez przywiedniętego tulipana. Kredens był właściwie moim

ulubionym meblem, nie tylko ze względu na to, że przechowywałam w nim herbatę, słodycze i wszystkie inne przyjemności dla podniebienia, którymi raczyłam się, próbując podnieść własnego ducha. Był on prawie-prezenterem. Stary, drewniany, z rzeźbieniami po bokach. Podarował mi go pewien pocieszny staruszek, właściciel antykwariatu, w którym poszukiwałam mebli do mieszkania, zanim się wprowadziłam. Jego przybytek odwiedziłam co prawda w poszukiwaniu półki na książki, marzyła mi się bowiem jedna z tych wiekowych, na których kiedyś gościły połówki już dzisiaj wersje dramatów Szekspira i wierszy Oscara Wilde'a. Staruszek jednak nie miał żadnych półek na zbyciu. Wskazał mi kredens, ze skruszoną miną, mówiąc, że nie znajdę u niego nic lepszego. Mogłabym oczywiście odmówić, wyjść ze sklepu i znaleźć moje upragnione półki gdzie indziej, jednak słabość do starszego człowieka nie pozwoliła mi na to. Wdałam się z nim w rozmowę, o wszystkich starociach, które gromadził przez lata. Dowiedziałam się nawet nieco o jego dzieciach i wnukach, taki to był otwarty człowiek. I z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, chyba mnie polubił, bo w końcu zaproponował mi kredens za bezcen.

Podniosłam słuchawkę telefonu i wystukałam odpowiednią kombinację cyfr na przyciskach. Tuż przy moim uchu rozległ się dźwięk sygnału połączenia. Obróciłam się, tak, że oparta byłam lekko o kredens, równocześnie zyskując widok na balkonik. Flemont ciekawie zerkał na mnie zza szyby, popijając herbatę.

- Halo?

- Donna?

- Oh, cześć! - Dziewczyna pisnęła radośnie. - Dzwoniłam właśnie, z pół godziny temu!

- Naprawdę? - Podrapałam się po szyi. - Musiałam... Nie było mnie w domu, musiałam wtedy być na mieście. - Przełknęłam kłamstwo. Flemont rzucił mi spojrzenie pełne politowania. - Coś się stało?

- A musiało się stać? - Po głosie wiedziałam, że uśmiecha się po drugiej stronie słuchawki. Pewnie siedziała w swoim pokoju i okręcała kabel telefonu wokół swoich długich palców. - Mało ostatnio rozmawiamy, zaraz zapomnę jak się nazywasz, nieznajoma.

Miała rację. Faktycznie, minęło dobrych kilka dni od czasu, gdy ostatnio rozmawialiśmy. Jednak nie tylko z nią. Od jakiegoś czasu po prostu pozwalałam telefonowi dzwonić.

- Nie uwierzysz kogo ostatnio spotkałam. - Zaczęła i zanim miałam szansę zgadnąć, dokończyła. - Mila!

- Eh.- Mruknęłam. Nigdy nie byłam fanką tego chłopaka. Wydawał mi się zbyt jednowymiarowy.

- Przestań, Milo jest wporzo.

- Powiedzmy.

Nie mogłam jej zobaczyć, ale coś mówiło mi, że przewracała właśnie oczami, ukrytymi za jej długimi rzęsami. - Z resztą, nie w tym rzecz. Poszliśmy na kawę, akurat obydwójce byliśmy wolni tego dnia...- Streściła mi wystrój i menu kawiarni, ocenę kończąc przyznaniem sześciu punktów na dziesięć możliwych. - ...z resztą, pogadaliśmy trochę, wiesz. Co tam, jak tam i w ogóle. Powiedział mi, że podobno odwołali już wszystkie prace i śledztwa nad Zamkiem.

Na wspomnienie o miejscu wyprostowałam się. Flemont zmarszczył brwi.- Tak?

- Tak! Ale nic nie znaleźli. Słyszałam plotki, że może jakieś kable poszły...Nie ważne. Ale teraz jest niczyj. Cały Zamek. Działkę odsprzedali jakiemuś gościowi, który wyjechał... do Ameryki? Nie, chyba do Azji. Tak czy owak, Zamek stoi sam.

- Ruiny Zamku. - Poprawiłam ją.

- Ruiny Zamku. - Zgodziła się. - I z Milo pomyśleliśmy....Słuchaj, czy nie fajnie byłoby się spotkać? Całe nasze grono, powspominalibyśmy i w ogóle...

Poczułam nieprzyjemne szarpnięcie w klatce piersiowej. Odwróciłam się przodem do kredensu, tak, żebym nie widziała Flemonta. - Donna, wiesz, że ja nie bardzo...

- Och przestań! - Jej głos wciąż był serdeczny, jednak teraz pojawiła się w nim nuta zniecierpliwienia. - Rozmawialiśmy o tym. Nie będzie tak źle. Sama mówiłaś, że masz też dużo dobrych wspomnień, pamiętasz?

Pokiwałam niechętnie głową, po czym przypomniałam sobie, że Donna mnie nie widzi.

- Chyba tak.

- Właśnie! - Usłyszałam jakiś głośny dźwięk, chyba klasnęła w dłonie. - Przyniesiemy jedzenie; ciasta, soki, może nawet coś mocniejszego... I Milo grał kiedyś na gitarze, pamiętasz? Powiedział, że może byłby w stanie sobie przypomnieć co nieco. Będzie miło. Naprawdę. - Jej ostatnie słowa były jak przyjacielskie poklepanie po ramieniu. Zgodziłam się przyjść, zapisałam datę na dłoni długopisem, który znalazłam w pobliżu, i odłożyłam

słuchawkę. Byłam przekonana, że to “naprawdę” Donny wciąż spoczywa na moim ramieniu, kiedy uniosłam jednak głowę, okazało się, że to dłoń Flemonta.

- No widzisz? - Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałam tym samym, bo cóż innego miałam zrobić?

- No widzę.

Paradoksalnie, o poranku w dniu spotkania, wstąpiła we mnie jakaś nieznana mi pewność siebie. Uczucie to było niczym stary znajomy, na którego wpadłam przypadkowo, w miejscu, gdzie żadne z nas nie spodziewało się spotkać drugiego. Kiedyś towarzyszyło mi dużo częściej.

Idąc ulicą stwierdziłam, że zaczęłam zauważać rzeczy, na które kiedyś w ogóle nie zwracałam uwagi. Tuż obok drzwi cukierni, które pchnęłam z całej siły, siedziała starsza kobieta. Ubrana była w przysypaną kurzem suknię, a na ramiona narzuciła kolorową chustę. Sama chusta była jedną z najpiękniejszych rzeczy, które kiedykolwiek widziałam. Liczne wzory i kolory mieszały się na niej, tworząc morze na pierwszy rzut oka pełne chaosu, jednak po dłuższym wpatrzeniu się w nią, wprawne oko zauważało harmonię i powtarzalność mandali. Dodatek idealnie pasował do twarzy staruszki, która ozdobiona była licznymi zmarszczkami, przypominającymi wzory. Staruszka siedziała skulona na macie, opierając się o ścianę budynku i tuląc do piersi wychudzonego psa. Wchodząc do cukierni, spojrzenie moje i kobiety spotkały się. Nie byłam pewna, dlaczego poczułam wstyd, jednak zmusił mnie on do szybkiego odwrócenia wzroku. Zatrzęsnęłam drzwiami za sobą.

Cukiernię odwiedziłam zmuszona resztkami dobrego wychowania, oraz namowami Flemonta, którego nie dało się przekonać do odpuszczenia mi. “Tak wypada”, powtarzał do znudzenia, aż w końcu dałam za wygraną. Obydwoje wiedzieliśmy, że z największym uznaniem spotkałby się gest, jakim było upieczenie własnego ciasta, jednak kuchnia nigdy nie była moim polem do popisu. Tu zgodziliśmy się, że ciastka z cukierni wystarczą. Na swoją obronę dodam, że była to jedna z tych lepszych w mieście. Na jej drzwiach, oprócz logo prezentował się chlubny rok powstania, który sprawiał, że każdy klient czuł się nieprzyjemnie wręcz młodo i naiwnie. W środku znajdowała się oczywiście wystawa ciast i innych łakoci,

oddzielona od głodnych odwiedzających szybą, pobudzającą apetyt. Parę krzeseł i zawsze czystych stolików. Nad ladą menu, z cenami, które sprawiały, że nawet najbardziej zaspani, wstąpiwszy po czekoladowego croissanta i espresso otwierali szeroko oczy.

Chłopak, który nie mógł być dużo starszy ode mnie, wręczył mi karton muffinek, o który poprosiłam, puszczając oko i życząc miłego dnia.

Zahaczyłam łokieć o klamkę, pociągnęłam, następnie przytrzymałam drzwi butem, otwierając je na oścież. Staruszka, która nadal zajmowała swoje miejsce na chodniku, odwróciła głowę w moim kierunku. Nie miałam pojęcia, co sprawiło, że kiedy drzwi cukierni trzasnęły tuż za mną i ponownie złapałam wzrok staruszki, bez słowa nachyliłam się ku niej i z kartonu wyjęłam dwie muffinki, jedną wręczając jej, a drugą kładąc obok psa, leżącego teraz u jej boku. Kobieta zdawała się być niemal tak zdziwiona, jak ja. Po chwili uśmiechnęła się, malując na swojej wiekowej twarzy kilka dodatkowych zmarszczek i wymamrotała coś w języku, którego nie znałam. Pies uniósł głowę, obwąchał prezent i zamachał ogonem. Uniosłam kąciki ust do góry, po czym odeszłam.

Nie nosiłam zegarka, nie wiedziałam więc, która była godzina i czy byłam już spóźniona. Cichy głosik w głowie, który zawsze przesadnie zamartwiał się bagatelami takimi jak bycie na czas, zapiszczał nerwowo, jednak po chwili udało mi się zagłuszyć go wzruszeniem ramion. Donna i tak byłaby jedyną osobą, która zauważyłaby, gdybym się nie zjawiła.

Kiedy budynek Zamku zaczął malować się przede mną, moją pierwszą myślą było:
- Ciekawe, czy są w nim teraz jakieś duchy?

Flemont parsknął śmiechem, pochylając się lekko nad moim ramieniem. - Żadne nowe.

Miał rację. Przecież w pożarze nikt nie zginął.

Mury od strony wejścia pozostały nietknięte przez płomienie. Szara cegła wciąż była tak surowa i pozbawiona uczuć, jak ją zapamiętałam. Żelazna brama otwarta, a szlaban znajdujący się tuż za nią, podniesiony. Na parkingu odpoczywało kilka samochodów, należących do uczestników spotkania. Teren szkoły wciąż wydawał się znajomy, kiedy obchodziłam budynek, kierując się w stronę boiska, gdzie czekać na mnie miała Donna wraz z całą resztą po części obcych, a po części znajomych mi ludzi.

Mijałam drzewa, za którymi niegdyś się kryłam. Usypane z piasku górkę, na które nie mogliśmy wchodzić. Były więc naturalnie ulubionym miejscem naszej dziecięcej zabawy.

Kiedy wydostałam się na otwartą przestrzeń, ujrzałam boisko, oraz tę część Zamku, którą strawił ogień. Przełknęłam ślinę, i skoncentrowałam wzrok na skupisku ludzi, z którego momentalnie wyłoniła się niewielka, złotowłosa postać. Wyrzuciła dłoń w powietrze i zaczęła machać nią na wszystkie strony. Przyspieszyłam kroku.

- Donna. - Mimo, że była dużo mniejsza ode mnie, w jakiś sposób udało jej się zamknąć mnie całą w niedźwiedzim uścisku.

Gdy mnie wypuściła, objęłam wzrokiem całą jej twarz. Wyglądała dobrze, jak nigdy. Pełne usta przyozdobiła różanym błyszczkiem. Jej twarz wyszczupiała od ostatniego razu, gdy ją widziałam, a oczy pełne życia wyglądały radośnie spod jej niesamowicie długich rzęs.

- Przyszłaś! - Jej głos był pełen zachwytu.

Pokiwałam potwierdzająco głową. - Przyszłam.

Obróciła się i złapała za ramię chłopaka stojącego nieopodal, w małym kółku innych młodych mężczyzn. - Milo, zobacz, przyszła!

Milo uśmiechnął się do niej i zwrócił wzrok ku mnie. Wyraz jego twarzy stał się wtedy trochę przepraszający, jakby chciał mi powiedzieć "Przepraszam, to ona zmusiła mnie do stworzenia tej niezręcznej sytuacji". Tylko, że on nigdy nie użyłby takich słów.

- Cześć.- Wymamrotaliśmy oboje i pod okiem Donny zmuszeni byliśmy do szybkiego uścisku. To nie tak, że nie lubiłam Mila. Myślę zresztą, że i Milo nie miał czasu, by darzyć moją osobę czymś więcej niż obojętnością. Problem naszego powitania polegał bowiem na tym, że spotkanie to, zainicjowane przez niego i moją drogą przyjaciółkę, miało być spotkaniem starych przyjaciół. A nasza znajomość nigdy nie wyszła poza mówienie sobie cześć na korytarzu, albo pożyczenie drugiemu ołówka na lekcji.

Donna chwyciła mnie pod ramię, (nie miałam pojęcia, skąd wziął się u niej ten nowy zwyczaj), po czym powiodła w głąb boiska, gdzie zgromadziło się najwięcej byłych uczniów Zamku i gdzie rozstawione były stoły z poczęstunkiem. Objęłam wzrokiem karton, który dzielnie trzymałam w dłoni. Patrząc na to, ile ludzi zagościło na boisku, ilość muffinek, w dodatku okrojona przez mój impuls, wydała mi się śmieszna.

Stawiając karton na jednym ze stołów, zwróciłam się do Donny. - Mówiłaś, że przyjdzie tylko "nasze grono". Spodziewałam się klasy, nie rocznika.

Dziewczyna zaśmiała się. - Och, co za różnica? Wspomniałam o tym paru osobom i tak jakoś...każdy chciał przyjść.

Uśmiechnęłam się do niej. Stara, dobra Donna.

Przez jakiś czas zostałam na boisku, przysłuchując się wspomnieniom innych, w których mnie było, potakując tak, jakbym też je pamiętała. Przez tłum, w którym przechadzała się Donna, nieubłaganie ciągnąc mnie za sobą, przewinęło się multum znajomych mi twarzy, które kiedyś były dla mnie równie oczywistym i naturalnym elementem mojego codziennego otoczenia, jaki teraz stanowił dla mnie park i ulica pod balkonikiem. Donna miała rację. Pozostały mi także dobre wspomnienia. Ukryły się w mojej głowie, przykryte warstwą czegoś innego, czegoś ciężkiego i lepkiego. Spotkałam Nike, z którą w tamtych dniach przeprowadziłam niezliczoną ilość rozmów o książkach i filmach. Mariannę, z którą zwykłam zasiadać przy jednym z bibliotecznych stolików i głowić się nad problemami matematycznymi, których rozwiązanie było wtedy równie trudne, co nie danie się złapać podczas wejścia na jedną z boiskowych gór. Aleksandrem, który mimo swoich skrajnych poglądów, kielkujących w nim już za dni szkolnych, a teraz niemalże wyrosniętych, był niesamowicie inteligentnym, obeznanym kulturowo rozmówcą i nawet przegrana z nim kłótnia była przyjemnością.

Zachęcana przez Donnę, dałam wciągnąć się w wir rozmów, które zdawały się lekkie i otaczały mnie z każdej strony. Miłe wspomnienia mieszały się z powietrzem, sprawiając, że stawało się ono bardziej rzeźkie. Każdemu wprost chciało się oddychać. Bo Zamek w pełni istniał już tylko w naszych słowach. W tym momencie staliśmy w otwartej przestrzeni, dorośli, uśmiechnięci z wyboru i nieskrępowani murami budynku, które już ponad rok temu pochłonięte zostały przez głodne płomienie.

Lecz choć skupiałam w sobie całą siłę woli, jaką dysponowałam, nie potrafiłam oprzeć się pokusie od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia na pozostałości budynku. Po dłuższym czasie przyznałam więc samej sobie, że nie dość, iż jestem jedynie człowiekiem, to jeszcze do tego słabym i kiedy Donna odplątała nasze ramiona, które w tym momencie zdawały się już przyrastać do siebie, skorzystałam z chwili jej nieuwagi i wymknęłam się z boiska. Z każdym krokiem moje wątpliwości narastały, a więzy pewnego rodzaju niepokoju coraz to ciaśniej krępowały moją klatkę piersiową.

Ze ściany budynku, która wychodziła na boisko, mało co zostało. Ogień musiał zająć niemal całą południową stronę Zamku, trawiąc szybko jego stare korytarze. Przede mną malowały się

pozostałości hallu. Bez południowej ściany i połowy sufitu, prezentował się dość żałośnie. Przyprószony popiołem sztandar szkoły, wciąż wisiał na brudnej ścianie, złote nici, którymi był szyty, połyskiwały psotnie. Ciekawe, że nikt go nie zabrał.

Schowałam dłonie głęboko w kieszeniach spodni i zagłębiłam się nieco w pozostałości budynku. Musiałam uważać, by się nie potknąć. Na osmolonej podłodze tam i ówdzie leżały fragmenty tynku, który odpadł ze ścian, albo śmieci, które zostały tu wyrzucone przez jakichś pozbawionych kultury ludzi. Jedna z ławek przy wejściu zachowała się w całkiem dobrym stanie. Podeszłam do niej niespiesznie, trąciłam nogą, sprawdzając, czy nie jest spróchniała, po czym usiadłam i wszystko powróciło.

Znowu byłam małą dziewczynką, siedzącą w zatłoczonym hallu, przypatrującą się ludziom, którzy co chwile wchodzili i wychodzili z budynku. Rodzice ciągnęli płaczące dzieci za dłonie, a te grzeczniejsze sadzali sobie na ramionach, tak, że mogły wyciągać ręce do góry i łapać zawieszane przy suficie ozdoby. Grupki starszych dzieciaków przewijały się między nimi, obładowane paczkami chipsów i słodkimi napojami. Poczułam się niewyobrażalnie mała.

Podobno byłam tam, wtedy gdy to się stało. Nawet teraz, gdy pierwszy szok minął już dawno temu, tak samo jak drugi i każdy kolejny, a wiadomość o pożarze nie była już szokująca, nie mogłam sobie przypomnieć, co właściwie zobaczyłam. Czasem tylko, ułamki wspomnień wracały, obracały się wokół mnie, jak drobinki popiołu tańczące na wietrze. Błysk światła. Dotyk piekielnych języków ognia. Stłumione krzyki. A potem znikwały, odegnane przez wiatr. A może przez Flemonta. A może przez samą mnie.

A najciekawsze było to, że wspomnienie hallu i wspomnienie ognia prawie w ogóle nie były ze sobą połączone. Dzielili je lata odstępu. W tym miejscu czułam się śmiesznie mała i samotna na długo przed tym, jak pochłonęły je bezlitosne płomienie.

Mocniej ścisnęłam książkę, której tak naprawdę wcale nie trzymałam na kolanie i kopnęłam plecak, który dawno już leżał na dnie szafy, pod ławkę. Ktoś się zbliżał. Spodziewając się ujrzeć Flemonta, rozluźniłam się, jednak to nie on stanął przede mną, z grzecznym uśmiechem.

- Tak myślałam, że tu będziesz. - Lila trąciła przyjacielsko mojego brudnego od sadzy buta, po czym również usiadła na ławce, zachowując mały dystans ode mnie.

- Cześć.

- Cześć.

Cisza wypełniła przestrzeń między nami tak szczelnie, że musiałam odsunąć się lekko, gdyż nagle poczułam jakbyśmy były za blisko.

- Kopę lat. - Mruknęłam, by trochę rozcieńczyć ciszę.

- No. - Lila wpatrywała się w ścianę przed nami. - Wiesz, że mam teraz psa?

- Psa? - Otworzyłam szerzej oczy. - Przecież boisz się psów. Bałaś. - Poprawiłam się.

Zaśmiała się delikatnie. - Dziwne, prawda? Nie, odkąd mam, już się nie boję. A spory jest. Owczarek. Taki. - Przyłożyła dłoń do kolana, a ja usiłowałam wyobrazić ją sobie na spacerze z ogromnym wilczurem, mając w pamięci jak strachliwie odsuwała się od małego buldoga, z którym zmuszona była się spotkać podczas jednej w jej wizyt w moim domu. Kiedyś odwiedzała mnie często.

- Podoba ci się spotkanie? Dobrze się bawisz?- zapytałam i odwróciłam głowę, w końcu łapiąc jej spojrzenie i nie zamierzając go puszczać.

Posłała mi uśmiech, który sprawił, że nawet w takim momencie byłam zdolna poczuć przebłyśki komfortu. - Tak. Musimy tak częściej, całą grupą.

Odetchnęłam i pokiwałam głową, mimo, iż wiedziałam, że jeżeli następne spotkanie rzeczywiście dojdzie do skutku, to mnie na nim nie będzie.

- Tęsknię za tym, czasami. - Wyznałam.

Odwróciła wzrok z powrotem ku ścianie, ale nadal się uśmiechała. - Ja też. Pamiętam jak... - Zaczęła opowiadać jakąś zabawną historię, której bohaterami była ona i jej koleżanki z klasy, a ja od czasu do czasu śmiałam się i potakiwałam, oglądając ją, mimo, że z historią tą nie miałam nic wspólnego. Bo tak właśnie zawsze z nami było. Ona opowiadała, a ja słuchałam, uśmiechając się.

Spotkanie trwało jeszcze długo po tym, jak razem z Lilą wróciłyśmy na boisko, idąc niespiesznie obok siebie. Donna od razu wypatrzyła mnie i z uśmiechem zaczęła wyrzucać mi, co ja sobie myślę, tak nagle zniknąć. Nie zostałam do końca. Po jakimś czasie, najedzona przysmakami wyłożonymi na stołach, odciągnęłam Donnę na stronę, oznajmiając swój powrót, bo byłam jej to winna, wymyślając jakąś szybką wymówkę usprawiedliwiającą. Nie

pożegnałam się z Milem, bo nie byliśmy na tyle blisko, by się żegnać. Ani z Nike, bo prawdopodobnie kiedyś spotkamy się na ulicy i nieumyślnie zanurzymy w rozmowę, z której trudno będzie się nam wynurzyć. Ani z Marianną, bo nasza znajomość nie była tym typem znajomości, w którym ludzie witają się i żegnają. Ani z Aleksandrem, bo zajęty był kłótnią z jakimś facetem, którego pierwszy raz widziałam na oczy. Ani z Lilą, bo wiedziałam, że dalsza rozmowa z nią i tak nie zaprowadzi żadnej z nas do niczego.

Wracając do domu, do mojego małego mieszkanka, ze staromodnym kredensem, czerwonym telefonem i małym balkonikiem, stanęłam i obróciłam się, rzucając jedno, ostatnie spojrzenie Zamkowi, bo czułam, że z nim wypadało mi się pożegnać. Pozostałości budynku wyglądały niemal romantycznie z oddali, otoczone ciepłymi barwami nieba, na którym słońce zniżało się leniwie ku wyznaczonemu zarysem miasta horyzontowi, tak zmęczone, że siły już nawet nie miało odpoczywać.

Uczucie, którego nie znałam, ogarnęło mnie i sprawiło, że przypatrując się temu miejscu, z którym wiązało się tyle nieprzyjemnych wspomnień, uniosłam kąciki ust ku górze. Nie spuszczać wzroku z Zamku, sięgnęłam do kieszeni kurtki. Moje palce bez trudu odnalazły przedmiot, który ciążył w niej już od ponad roku.

Wrzuciłam zapalniczkę do kałuży nieopodał, a ona z głośnym pluskiem szybko zadomowiła się w nowym miejscu. Parsknęłam śmiechem, po czym odwróciłam się i wróciłam do domu.